

Efektowne tylko na plakacie

„Brat naszego Boga” Karola Wojtyły w warszawskiej Rampie to nie teatr, lecz akademizm na cześć. Budząca niesmak i zażenowanie

Prolog przedstawienia. W rytm mocnej w założeniach muzyki Zygmunta Koniecznego posuwistym krokiem wchodzą na scenę aktorzy. Marsowe oblicza, oczy zasnuwane mgłą. Nie, nie zaczęli ze sobą rozmawiać. Staną w bezruchu, by zapałrzeć się w dal. Co przyciąga ich wzrok? Świetlisty kwadrat. Okno. Papieskie okno zapamiętane przez świat z nocy przełomu marca i kwietnia ubiegłego roku. Epilog przedstawienia. Na scenie obleczony białym obrusem ołtarz, na nim

otwarty ewangeliarz. Reflektor wydobywa z mroku ową księgę. Brakuje tylko wiatru obracającego strony jak podczas pogrzebu Jana Pawła II. Obie te sekwencje najjaśniej pokazują, do czego autorom spektaklu w warszawskim Teatrze Rampa potrzebny był dramat Karola Wojtyły „Brat naszego Boga”. Nie, nie do przywołania tamtych emocji i wzruszeń, bo ich odtworzyć się nie da – to sprawy dla każdego zbyt intymne. Raczej do podkreślenia, że oto ludzie sceny składają hołd papieżowi Polakowi. Czynią to jednak poprzez nadętą



Mieczysław
Morański
jako Adam
Chmielowski

pychą, na wpół amatorskie widowisko, którego oceny nie zmieni wykorzystanie w przedstawieniu muzyki Zygmunta Koniecznego i słów litanii ks. Jana Twardowskiego. Ponieważ z tekstem Wojtyły nie łączy ich prawie nic, uzasadnione wydaje się podejrzenie, że powód takiego kształtu inscenizacji jest tylko jeden. Nazwiska kompozytora i poety obok nazwiska Wojtyły na afiszu spektaklu – to będzie wyglądało!

Tak jest z całą inscenizacją Pawła Aignera: ma wyglądać szlachetnie, brzmieć dumnie frazami Wojtyły i Twardowskiego, słowem – ma być ze wszech miar słuszną, szczególnie w przededniu rocznicy pamiętnego konklawe. Nagromadzenie „dobrych” intencji wywołuje efekt odwrotny od założonego. Kiedy ogląda się „Brata naszego Boga” w Rampie, niesmak miesza się z zażenowaniem.

Jak grać i czy w ogóle grać dramaty Karola Wojtyły? Pisany w latach 1944–1949 „Brat naszego Boga” przynosi prostą odpowiedź. Swoich sztuk używał przyszły papież do wykładu moralnego, dlatego wtlócone w ramy teatru konwersacyjnego rażą deklaratywnością. Trzeba też pamiętać o artystycznym rodowodzie Woj-

tyły – Teatrze Rapsodycznym Mieczysława Kotlarczyka. Dlatego trzeba wyrzec się akcji i traktować dramaty niczym wiersze. Nie próbować szukać interakcji między postaciami, bo nigdy nie zabrzmiały przekonująco. Jedyne wyjście jest zaangażować mistrzów słowa. Niech recytują wiersze. Wyjdzie z tego wieczór poezji, a nie teatru, ale tak czy inaczej o teatrze raczej nie ma mowy.

W Rampie udają teatr rodem z oazowego obozu. Historia dojrzewania brata Adama Chmielowskiego do świętości wypada błado, na grającym tę rolę Mieczysławie Morańskim nie sposób dłużej skupić uwagi. Reszta wykonawców nie odróżnia się od tła. Pozostają śpiewy w rytm bombastycznej muzyki Koniecznego, uśmiechnięte twarze aktorów w udawanym uniesieniu. Szantaż emocjonalny, który budzi sprzeciw.

Jacek Wakar

BRAT NASZEGO BOGA

wg Karola Wojtyły, reż. Paweł Aigner

Teatr Rampa w Warszawie

Premiera 13 października



*Diennik, Polska Europa Śmiał, dod. Kultura, Warszawa
20.10.2006, Dz. Nr 156*